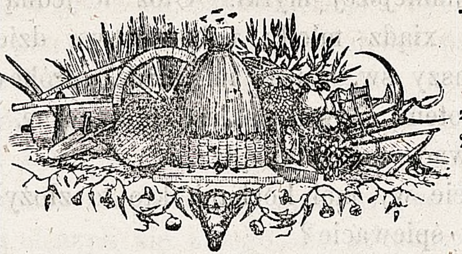
Tom X. Nr. 14.

11. Maja 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JAN KOCHANOWSKI,

pisarz i pobożny Polak.

We wsi Żarnowie stoi ładny drewniany kościółek na brzegu potoczka, naokoło sztachety dębowe i wielkie lipy, a po obu stronach kapliczki malowane, w jednej Pan Jezus frasobliwy, a w drugiej Najświętsza Panna boleśna. We środku kościoła wiszą przeróżne obrazy świętych naszych polskich patronów, a nad drzwiami zakrystyi wisi znowu obraz, gdzie jest wymalowany jakiś pan, co sobie trzyma w ręce xiążkę do modlenia a przed nim stoi ukrzyżowany Pan Jezus. Ale też lud w tej wsi pobożny, przykładny, pracowity, trzeźwy, a usłużny każdemu, żeby biednego nie minął za nic w świecie. Dzieci schodzą się do chałupy wójta Gduli i tam co dzień przychodzi organista z drugiej parafii i uczy wszystkiego, a co święto czyta najstarszy syn wójta Franek różne pisma, a młodzi i starzy słuchają z ochotą, a potem sobie rozpowiadają, jak który mógł lepiej spamiętać. Otóż co drugą niedzielę po południu przyjedzie tam młody xiądz i odprawia nabożeństwo a potem uczy

śpiewać pobożne pieśni. Wyuczyły się dzieci śpiewać na nieszpor po polsku i umią ci z pamięci wygadać do jednego słówka bez najmniejszej myłki. Otóż w jedną niedzielę tego roku odprawił xiądz młody nabożeństwo, dzieci odśpiewały pieśni, a po mszy św. kazał im xiądz spróbować: „Kto się w opiekę“ a potem znowu psalmy nieszporne. A gdy dzieci skończyły śpiewać, zapytał xiądz:

— A wiecie wy moi kochani, kto to złożył te psalmy nieszporne, co wy śpiewacie?

Na to pytanie nikt nic nie odpowiedział, bo odpowiedzieć źle, to lepiej nic nie mówić.

Otóż xiądz jął sam opowiadać:

— Widzicie moi ludzie! że to byli tacy pobożni ludzie, którym dał Bóg taki rozum, że oni potrafili dobrze radzić, ale jakci co napisali, to czytając to pismo płakałeś jak dziecko a nie dałbyś go i za wór dukatów z chałupy nikomu. Otóż takim rozumnym pisarzem i pobożnym człowiekiem był niejaki polski pan, Jan Kochanowski. Ten to pobożny pan ułożył przeróżne śpiewki, a na chwałę bożą ułożył znowu pieśni pobożne, które w całej Polsce wszyscy śpiewają. On to ułożył pieśń: „Kto się w opiekę“ co ją to i małe dziecko odmawia, jak lega spać, a gazda znowu śpiewa na polu przy robocie albo w chałupie do dnia, albo w zmartwieniu i jakiem utrapieniu, a ludzie nasi śpiewają ją kiedy idzie procesya albo kiedy idą na odpust.

Nawet te psalmy nieszporne, co my tu śpiewamy po naszych kościołach po polsku, to złożył tak ładnie i składnie ten sam pan Kochanowski.

A gazda jeden z Żarnowa, Tomek Gdula, brat rodzony wójta samego, słuchał tego opowiadania z wielką uwagą i spytał się xiędza:

— A proszę też pokornie jegomości, gdzie się to urodził ten pan Kochanowski, może to nasz krajan i swojak?

Xiądz na to rzecze:

— A jużci, że on nasz krajan i taki Polak i katolik jak my wszyscy od maleńkiego do starego, od chudaka do bogacza — jeno on urodził się z tąmtej strony Wisły koło Sandomierza,

gdzie od nas idą na flis co rok. Niedaleczko od Sandomierza stoi gromadzka wieś Sycina, gdzie to rośnie polska pszenica jak groch duża, a zowie się Sandomierką, i był w tej wsi jego ojciec pobożny pan i matka tak samo dobra pani — tam się wychował od maleńkiego Jan Kochanowski, a w Sandomierzu chodził do szkoły z drugimi chłopaczkami i uczył się bardzo dobrze, a lubił sobie zawsze skrobać piórem i składał zawsze do równego wiersza różne wesołe śpiewki, co je potem szkolarze śpiewali i cieszyli się z tego, że szkolarz Janko potrafił składać takie słowa do śpiewania. Za młodu był on tak pobożnym jak jego ojciec i matka, a miał także starszego brata Kaspra, którego lubił strasznie.

Ale nikt nie zgadnie, co na niego jutro spadnie, ani nikt w żadnej xiążce nie wyczytał tego, co jutro będzie z niego. Tak się stało i z Jankiem szkolarzem. Jak mu minęło 17 lat to odumarł go ojciec, a biedna matka nie przerywała mu nauki, ale sama we dnie i w nocy zarabiała z starszym synem Kasprem, aby jeno dobry Janko mógł się uczyć i wyuczyć na dobrego Polaka. I tak dbałą była ona o swoje dziecko, że mu kazała het szkoły pokończyć w polskim kraju, a potem dała dużo dukatów do kieszeni i posłała go w daleki świat aż do ziemi ojca świętego i do Francuza, aby się tam wyuczył rozumu między rozmaitymi ludźmi, a potem był dobrym i mądrym Polakiem. Ale gdzie cienko, tam się najprędzej urwie, a chudaka to się najwięcej bieda nabije — tak i Jankowi się stało. Umarła mu matka, a wtedy nie było komu podać mu ręki. Toż musiał on szkoły za granicą poniechać, a wrócił do swego kraju na ojcowiznę i zaczął robić koło chleba i roli.

A gazda Tomek Gdula zagadał:

— O! tać to było szkoda sponiewierać takiego chłopaka dobrego, co się tak doskonale uczył i byłby został jakim urzędnikiem, albo biskupem.

A xiądz na to tak powiada:

— Tak samo, jak wy Tomaszu, mówili wtedy ludzie dobrzy. To też xiądz biskup z Krakowa, niejaki Myszkowski, zawołał Janka do siebie i tam go długi czas trzymał u siebie i namawiał go koniecznie na xiędza, ale Janko mu odpowiedział:

Mam być złym xiędzem, to wolę być pobożnym i przykładnym gazdą na wsi razem z chłopami. Ale biskup chciał mu u króla polskiego Zygmunta Augusta wyrobić koniecznie jaki urząd w mieście, ale Janko mówił zawsze: Urzędnik narazi się jednemu i drugiemu i musi się charkać z ludźmi, a ja lubię spokój i zgodę z każdym, a zresztą mam ojcowiznę, lubię strasznie żyć na wsi razem z chłopami, pojadę więc na ojcowiznę i tam będę robił w roli, a co zbędzie mi czasu, to sobie będę pisał różne śpiewki i piosenki na pożytek ludzi i na chwałę bożą, a dla chłopów zostanę nauczycielem i ojcem i dobrym panem. I tak zrobił! na xiędza nie poszedł, bo to chleb smaczny, ale trza za każdą okruszynkę potem strasznie odpowiadać przed Bogiem, na urzędnika także nie poszedł, bo mu się to jakoś nie zdawało, ale wrócił na ojcowiznę i osiadł na gruncie i zaczął robić z chłopami na kawałek chleba.

A gazda Tomek Gdula poderwał:

— A gdzie była ta jego ojcowizna?

Xiądz na to odpowie:

— Niedaleko miasta Radomia między lasami jest wieś Czarnolesie, tak się zwie dla tego, że między strasznemi lasami leży i gdzie się obejrzysz to las i las czarny widzisz. Otóż porzucił Janko pałace biskupie, dwory króla i miasta, a wrócił do gniazda ojcowskiego między znajomych gazdów i zagrodników i tam się potem ożenił i pracował na kawałek chleba.

A drugi gazda ciekawy Wawrzek Mucha, nadsłuchując tego, odezwał się:

— A toć jegomość mówili, że ten sam Janko ułożył różne pieśni — to kiedyż on miał na tyle czasu, aby orać, siać, kosić, młócić i grunta nawozić, a do tego znowu zasiadać i dumać i trapić głowę, aby co dla kogo napisać?

A xiądz na to rzecze w ten sens:

— Bo to widzicie Wawrzeńcze! że jest do roku coś 78 świąt, a 78 dni złożyć do kupy, to będzie jakie 12 niedziel okładem. Gdyby każdy człowiek pracował w dzień powszedni, a znowu w święto uczył się i pisał sobie, toby przez 12 tygodni dużo spisał. Otóż Janko tak robił. Jak poorał i posiał, to wtedy siadał sobie na kamiennej ławce pod lipą w ogrodzie i coś so-

bie pisał i znowu dumał i pisał, i znowu mazał i dumał i chodził po ogrodzie, a strasznie nie lubił, jak mu kto przeszkadzał; a znowu w święto po nabożeństwie siadł koło stołu i przepisywał sobie na czysto, co w tygodniu napisał. I jak też potem dał to do druku, jak to jego pismo i druk połapał król i panowie i biskupi, i jak to każdy mądry odczytał, wtedy sobie mówili:

— A to dopiero Janko Kochanowski ma rozum i głowę nie od parady — a to się wyuczył i widać, że nie darmo dawał mu ojciec a potem matka chleb i grosze na szkołę.

I nuż posłał sam król do niego, aby przyjechał do Krakowa, a zostanie pierwszym po królu urzędnikiem, takim Senatorem, ale Janko zawsze jeno swoje powtarzał:

— Lepiej żyć na wsi między ubogimi, niż w mieście między zepsutymi — co ja ubogi Jaś zebrał i złożył na wsi moją pracą, to bym prędko w mieście przejadł jako pan. I nie ruszył się na krok ze wsi, ale wtedy popisał dla Polaków te ładne pieśni, aby niemi chwalili Boga na wieki. Otóż dotąd mamy te pieśni od tego Jana Kochanowskiego i wy też powinniście wszyscy wiedzieć, jacy to byli dawni Polacy.

Ale ciekawy Wawrzyniec Mucha spytał znowu:

— A gdzie też umarł ten pobożny pisarz?

A xiądz na to:

— Umarł nagłą śmiercią w Lublinie, kiedy stał przed królem polskim Batorym i skarżył się o krzywdę straszną, jaką Turki zrobili jego szwagrowi — zabili oni go, kiedy pojechał do nich kupować konie — a ledwo przemówił słowo, to go taki żal ogarnął za szwagrem zabitym i tyle mu łez stanęło w oczach, że z tego upadł na ziemię i skonał. Toż chłopi przywieźli jego ciało do Zwolenia, do parafii i tam pochowali go. A płakali też chłopi tak za nim, jak za królem Kaźmierzem Wielkim, boć on kochał chłopów polskich, mieszkał między nimi, nie chciał ich porzucić, choć go król wołał do Krakowa, a do panów tak mówił:

— Żyjcie pobożnie i przykładnie na wsi, bądźcie ojcami ludu, miejcie chłopów w opiece i nauczajcie ich, aby i chłopi mieli dobry polski rozum i żyli pobożnie i przykładnie i kochali

tak ojczyznę swą, jak wy ją kochacie. — Za takie słowa kochali go chłopi, był on dla nich sprawiedliwym.

A Tomek Gdula odezwał się:

— Że też to taki dobry człowiek umarł tak nagle, a może był i młody jeszcze?

A xiądz powiada:

— Przeżył on 54 lat, a wiecie Tomaszu, że kogo Bóg kocha, to mu krzyżyki daje. I Jan miał różne utrapienia — umarła mu córeczka Urszula, co była oczkiem jego, bo to maleństwo umiało także składać słowa na różne śpiewki i śpiewało ojcu, wisząc mu u szyi. Po śmierci jej przez 5 lat nic nie pisał jeno się gryzł, a potem ułożył wierszyki dla tej dzieciny. — A po jego śmierci została biedna wdowa Dorota i sama jakie 20 lat biedowała z dziećmi i chowała jak mogła. A wy moi kochani macie tu nad drzwiami zakrystyi waszej obraz tego samego Jana Kochanowskiego, toż ile razy odśpiewacie jego pieśń: „Kto się w opiekę“ albo jego psalmy polskie, tyle razy zmówcie też i za jego duszę modlitwę. A choć to już 300 lat temu, jak on żył, to po nim zostały nam jego pieśni, któremi chwalili Boga nasi ojcowie i my chwalimy i potomki chwalić będą.

Xiądz się pożegnał i odjechał do parafii, a Tomek Gdula i Wawrzek Mucha podali to wszystko do Dzwonka, aby też i drudzy ludzie wiedzieli o tem dobrze.

Xiądz Wojciech z Medyki.

KRUK,

piosnka litewska.

Z ponad lasu, z ponad chmury
Na dolinę sioła,
Kruk się spuścił czarnopióry
Na żer dziatwę woła;
Ej! żerował gdzieś na grobie
W pośród bojowiska,
Bo ma krwawą rękę w dzióbie,
Na niej pierścień błyska.

Czarny kruku z jakiej strony,
Burza cię przywiała?
Zkąd ten pierścień pozłocony?
I ta ręka biała?
„Za górami — ej dziewczyno! —
„Był tam bój nielada!
„Krwi młodzieńczej rzeki płyną,
„Głów tysiące spada!

„Zakopuje lud roboczy
„Bohaterskie głowy;
„Na mołojców orle oczy,
„Sypie żwir surowy.
„Po kurhanach, jak kopacze,
„Wyją wilków stada,
„I niejedna matka płacze,
„Na grób syna pada!“

Dziewczę jękiem pierś rozrywa,
Twarz we dłonie chowa:
„Dolaż moja nieszczęśliwa!
„Biednaż moja głowa!
„Wiem już teraz kto zabity,
„Czyja to dłoń biała:
„Jam ten pierścień złotolity
„Lubemu oddała!“

Wspaniałomyślny kmiotek.

Juz to czegoś moje największe upodobanie, jak się gdzie dowiem o dobrem sercu i pięknym czynie między wami ludu prosty kochany, — aby to zaraz wypisać, — żeby wszyscy wiedzieli, jak znowu okrutnie jestem nie rada, kiedy co zasłyszę lub przeczytam o was, co się nie zgadza z miłością Boga i bliźniego. To też Pan Jezus dobry, bo częściej co o was miłego, niż złego zasłyszę, i raduję się, że wam dla przykładu napiszę. Bo już co prawda, to nie grzech, że gdyby

mi Bóg nie dał, lub nie pozwolił pisać dla was, tobym wolała nie żyć na świecie, i nic by mnie już nie cieszyło, skorobym się z tem wszystkiem, co wiem, z wami i z waszem sercem nie podzieliła.

Otóż tu wam chcę opowiedzieć wspaniałomyślność jednego wieśniaka, który to przytrafunek, choć prawda że już lat parę jak się przytrafił, bo jeno w 1846 roku, ale cnotliwego i miłością pełnego czynu pamięć nigdy nie zaginie, i tu i w niebie.

Otóż było to w Stojowicach w cyrkule Bocheńskim, gdzie mieszkało na dwóch częściach dwóch dziedziców. Oba byli dobrzy panowie, nie było im przezwy, tylko jeden z nich, choć miał serce najlepsze, i nieba byłby chciał drugim przychylić, tylko tę jednę miał wadę, że okrutnie nie lubił, jak mu kto w jego części i w jego lasku polował na zwierzynę. A znowu w drugiej części Stojowic, był leśny, nazywał się Franciszek Wyligajło, ten przestraszną miał ciekawość do polowania; więc bywało, że często gęsto, pobiegł i na tę drugą część, i zagonił się za jakim zającem, albo też jaką inną zwierzyną, no i strzelił.

Na co pan z drugiej części strasznie się markocił, i gdzie mógł to temu leśnemu dokuczał, i nie raz go brzydkiemi słowami wyłajał. Bo jak mówię pan był przedobry na wszystko tylko na to nieszczęsne polowanie, tak się złościł. No i takim sposobem zawsze między tym panem a leśnym był swar, i juźcić się ta oba nie musieli kochać.

W tym czasie nadszedł ten nieszczęsny rok, co się szatan cieszył na ziemi, i co się to wielka moc ludzi złych zkądś nabrała, co zapomnieli na miłość Boga i bliźniego, i napadali najpoczciwszych ludzi, i często gęsto i o życie przyprawili. Tak też i na tę wieś hurma takich ciemnych złych ludzi przypadła, przed złymi ludźmi, a ciemnymi każdy ucieka, toć i panowie z tej wsi, musieli uchodzić, i chcieli się gdzie zachylić. A że to była nocna pora to ten pan, co to nie rad był o to polowanie na leśnego, gdy szedł, pobłądził sobie i właśnie jakoś niedaleko chałupy tego Franciszka Wyligajły się znalazł; a to było już koło północka. Ni jako gdzie pójść noc ciemna, a myśli sobie pan tak: „Do leśnego nie ma się po co zachylić,

boć ja tu dla niego nigdy dobry nie był, to on mnie pewno do swej chałupy na spoczynek nie przyjmie.“ No i kiedy sobie tak myśli, i nie wie co począć, patrzy a tu zbliża się ku niemu, kto? leśny, i pięknie przemówi, i pochwali Pana Jezusa i powita grzecznie pana, i prosi, aby się po nocy sam nie tyrał, ale do jego chałupy wstąpił, i mało wiele odpoczął.

Aż pan osłupiał, jak to takie dobre serce tego Franciszka Wyligajły ujrzał, i rozpłakał się z czułości, i poszedł do niego. Franciszek dał mu zaraz posilić się, czem była bogata chałupa a potem spytał się, czy też pan ma jaki grajcar przy sobie. Ale gdy mu pan powiedział, że mu wszystkie pieniądze źli ludzie zabrali, i tylko z życiem uciekł, to on poczciwy leśny wyjął parę reńskich i prosił, aby pan od niego pożyczonym sposobem pieniądze przyjął; bo jakże by zaś mówił, do miasta szedł bez grosza.

No i dopiero potem, wybrał się z nim w drogę, i odprowadził w takowe miejsce, gdzie już nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Jak mu to później ten pan nagrodził, to wam już i pisać nie potrzebuję; kochał go, jak swego rodzonego brata, sadzał go u swego stołu, i już mu pewno i w własnym ogrodzie nie byłby zakazał polować; ale nie taka jeszcze czeka tego uczciwego Franciszka nagroda w niebie, bo nic tak chojnie nie nadgradza Pan Jezus, jak podarowanie urazy, oddanie dobrem za złe.

Róbcież więc wszyscy kochani ludkowie podobnie, darujcie zawdy i wszędy każdą urazę waszemu bratu, czy wam ją wyrządził szlachcic czy mieszczan, pan czy sługa, bogaty czy ubogi, a dopiero pokażecie żeście dziećmi jednego Boga, żeście prawi chreścianie, dobrzy polacy, i zasłużycie sobie nieomylnie na koronę w niebie! która aby nam się wszystkim dostała!! Zostańcie z Panem Jezusem!

Ludka z Myślenic.

Skarb
czyli
Chciwość ukarana.

Jeżeli już sama niepohamowana chęć zysku jest obrzydliwym błędem, o ileż więcej pogardy godzien jest człowiek, co za nic sobie nie waży prawo boże i ludzkie, aby tylko urwać coś dla własnej kieszeni, za nic nie ceni życie i zdrowie swego bliźniego, aby tylko napełnić kabzę i powiększyć fortunę.

Tacy ludzie chciwi jak wilcy nie mają snać ani okruszyny sumienia i nie znają Pana Boga, tylko mamonę znikomą, za którą gonią na ziemi póki życia, aż ich nareszcie śmierć, która nie pyta ani o skarby ani o bogactwa, zadławi wśród grzechów jak istnych pogánisków.

Posłuchajcie jeno, kochani ludkowie, historyi, którą wam tu pokrótce opowiem a przekonacie się rychło, jak Bóg sprawiedliwy srogo karze ludzi drapieżnych, co zdradliwie czychają na mienie i życie swoich współbliźnich.

Przed wielu, bardzo wielu laty szło trzech podróżnych ludzi przez pustą ziemię, na której ani jednej zielonej trawki nie było, tylko same piaski i kamienie się bieliły. Dzień był bardzo gorący a słonko tak srodze dopiekało, że zda się włosy tliły na głowie. Podróżni strudzeni mocno drogą, usiedli wśród piasczystej pustyni i poczęli odpoczywać.

Gdy tak odpoczywając skarżyli się na los swój opłakany, ujrzeli na pół piaskiem przysypaną skrzynię. Zaraz ci pobiegli ku niej z ciekawością — a gdy ją rozbili okazało się, że pełną była pieniędzy, złota i drogich klejnotów.

Okrutnie się też uradowali podróżni, ale zaledwie pierwsza uciecha minęła — aliści już szatan wlazł w ich serca i napoił je zawiścią i przebrzydłą chciwością.

Chociaż w znalezionej skrzyni dość było złota, aby z wszystkich trzech chudaków zrobić bogatych panów, to przecież każdy z nich myślał sobie:

— Hej! Czemu to ja sam nie znalazłem tej skrzyni?... Byłbym miał huk złota i pieniędzy na całe życie i nie potrzebowałbym się dzielić z moimi dwoma towarzyszami!

Tak sobie dumał każdy z osobna i z podełba zawistnie zerkał na towarzyszy, jakby ich chciał samem jadowitem spojrzeniem zamordować, aby mu nie zmniejszyli znalezionego skarbu. I tak zamiast się cieszyć znalezionem bogactwem, każdy siedział jak mruk i serce miał zatrute, bo taki to już nieszczęsny zwyczaj na świecie kochani bracia, że im człowiek ma więcej, tem więcej mu się zachciewa.

Wśród takich grzesznych i zawistnych myśli uczuli podróżni głód i pragnienie wielkie.

— Mamy moc złota i pieniędzy — odezwał się z nich jeden — a cierpimy głód i pragnienie nieznośne. Niechaj jeden z nas pójdzie do poblizkiego miasta i nakupi strawy, bo inaczej przy kupie złota poginiemy marnie jak muchy z głodu. Zaś wieczór pójdziemy wszyscy trzej ze skarbem do miasta, boć w dzień gotowiby nam odebrać go jeszcze.

Ale żaden z trzech podróżnych nie chciał odejść od skarbu i zakupić jadła.

— Idź ty — rzekł jeden do drugiego.

— A ty czemu nie chcesz iść? — odpowiedział drugi.

— Ja nie głodny! — odpowiedział trzeci.

A każdy wytrzeszczył oczy na skarb jak wilk niecnota na jagnię. Nareszcie zgodzono się aby ciągnąć losy, a na kogo wypadnie, aby poszedł. Jakoż ten co los wyciągnął, musiał chcąc nie chcąc ruszać do miasta, lecz odchodząc, popatrzył raz jeszcze okiem czerwonem od zawiści na skarb i swoich towarzyszy i mruknął przez zęby:

— Pierwej się nosem zaryjecie w ten piasek gorący, zanim oberwiecie co z tego skarbu. To złoto musi być całe moje! Już ja wam przyniosę strawy takiej, że jej i do sądnego dnia nie strawicie!

I poszedł do miasta, knując myśli zbrodnicze i zdradzieckie. Jak tylko poszedł do miasta, nakupił jadła a potem dostawszy truciznę, zatruł wszystką strawę.

I wołał z okrutną uciechą, aż mu ślipie jak głownia żarząca buchały czerwonym płomieniem:

— Będę miał skarb cały!... skarb cały!

Tymczasem dwaj inni, którzy zostali na pustyni, siedzieli jakiś czas w milczeniu i zatapiali się w bezbożnych myślach, aż nareszcie odezwał się jeden do drugiego:

— Słuchajno bracie. Nie lepiejby to było, gdybyśmy ten skarb tylko na nas dwóch podzielili?...

— A jużci że lepiej! — zawołał drugi i wyszczerzył zęby jakby całą skrzynię na jeden kąsek chciał pochłonąć. — Ale jakże to zrobimy?

— Głupiś! — odpowiedział pierwszy — ja ci to zaraz powiem! Jak przyjdzie trzeci z miasta, to go zabijemy!....

Z początku wzdrygnęli się obaj na myśl tej okropnej zbrodni — bo kiedy człowiek chce się rzucić w otchłań grzechu, toć go zawsze pochwyci raz jeszcze za ramię anioł pański, święty stróż naszego żywota.

Ale u złych ludzi szatan ma więcej posłuchu jak święty anioł-stróż, więc też po krótkiej naradzie zgodzili się obaj zbrodniarze na to, aby swego trzeciego towarzysza, skoro powróci ze strawą zamordować bez miłosierdzia.

Nie długo czekali na posłańca. Przyszedł on niezadługo i już naprzód cieszył się tem, jak jego towarzysze potrują się jadłem i zostawią mu skarb cały. Ale Pan Bóg nie dozwolił mu tej zbrodniczej uciechy, zaledwie powitał swoich towarzyszy, aliści rzucili się na niego i zamordowali go okrutnie.

Gdy już dopełnili tej okropnej zbrodni, poczęli się wielce cieszyć i mówili:

— Teraz mamy po połowie skarbu! Będzie za co panować i w złocie się kąpać przez całe życie! Teraz jedzmy i pijmy i radujmy się!

I poczęli jeść żarłocznie, jakby chcieli zadławić głos sumienia, który im się odzywał w piersiach. Ale zaledwie zasmakowali jadła, trucizna poczęła palić i żreć im wnętrzności Poczęli się wić jak węże, tarzali się po piasku i jęczeli okrutnie, aż nareszcie zczernieli jak ziemia i pokonali w okropnej męce.

Tak zginęli nędzną śmiercią wszyscy trzej chciwi zbrodniarze, ukarani palcem Sprawiedliwego. Zgnili na pustyni jak plugawe zwierzęta — a krucy i sępy żarły ich ciała.

W kilka dni potem przechodzili tą samą pustynią pobożni kapłani a znalazłszy skarb i trzy trupy, zbudowali za znalezione pieniądze kościół i modlili się w nim za duszę trzech chciwych zbrodniów.

Wojtek ze Smolnicy.

Proceśniki.

I.

Wielki miał rozum i całe niepospolitą głowę nosił ten malarz na karku, co to namalował ów obraz proceśnika. Kiedym jeszcze był małym dzieciakiem, pokazywali mi tatulo bywało to malowanie; toć mi też tak przemówiło do serca, że chyba najokropniejsza krzywda i ciężka tylko bieda mogłaby mnie skusić do prawowania.

Ciekawiście zapewne kochani przyjaciele, co to mądre malowanie przedstawiało? Owo wymalowany był na płótnie golusieńki chudzina, który się tylko kawałkiem papieru okrył od wstydu i zgorszenia innych. Zaś pod tym golcem napisane były słowa:

— Tak wygląda człowiek co się prawował przez lat kilkanaście i proces wygrał.

Wtedy pytałem ojca:

— A jakżeż wygląda ten co przegrał?

A pan ojciec mój na to:

— Ten to już pewnikiem nie wygląda, bo jeszcze przed końcem procesu umarł pono z głodu nieborak!

Chwała Bogu lat już odtąd minęło nie mało, kiedym jako mały berbeć oglądał to malowanie — a przecież do dziś dnia jakem katolik, tak świadczę się sumieniem, że nigdy bym się nie prawował, chyba już przy jakiej oczywistej napaści na zdrowie lub fortunę.

Boć nie żal już włóczyć się po adwokatach i sądach, kiedy człeku jakiś oczajdusza okna deskami zabija lub na gorzko zapracowane mienie niepoczciwie godzi — ale zato niemasz nic ohydniejszego jak ci ludzie, co ni ztąd ni z owąd, bez żadnej godziwej przyczyny, byle tylko o piędź ziemi lub kilka głupich groszy, co na nie za przyzwoleniem i plunąć uczciwemu Chrześcijaninowi nie warto, pieniają się i prawują, jakby tu chodziło o zdrowie, życie i cały majątek.

Toć też takim proceśnikom nie stanie jak mi Bóg miły skórka za wyprawę. Bo jak taki wyjadacz zacznie wydawać grosz po groszu — to dalipan nim się spojrzy, przetachluje więcej grosiwa, niż ta cała historya warta, o którą się procesuje. Boć posłuchajcie jeno: Opłacić się pisarzowi, nakupić stęplów, wepchnąć coś w łapę woźnemu, tracić czas na terminach — czy to w kupę wziąwszy nie wyjdzie wyżej niż ta marnostka, na którą się tak wściekle rozżera pieniacz niecnota?...

Jako żyw, choć wygra proces, to tak ci będzie wyglądał, że tylko wołać jakiego malarza, aby zrobił znowu drugie takie malowanie, jakie mi za młodości pokazywał mój ojciec.

Ale cóż poradzić z upartymi ludźmi? Wszystko można wyleczyć, nawet (uchowaj Boże) słabość jaką śmiertelną — ale głupotę ludzką to podobno nie tak łatwo jaki lekarz, choćby był mądry jak sam król żydowski Salamon, wyleczeć potrafi!

Toć przecież ja sam znałem jednego kmiecia z Żurkowiec imieniem Antoni Pływacz, co się procesował o podkowę, a wygrawszy proces musiał konia przedać, aby koszta prawowania się popłacić! A była to historja taka:

Wracał sobie Antoni z jarmarku a że mu koń był bosy na jedną nogę, więc wstąpił do kowala Miechułki, aby mu podkuł konia. Miechułka przybił podkowę, a że Antoni Pływacz wyszastał kabzę na jarmarku i nie miał czem zapłacić, więc pokredytował mu na kilka dni.

Jedzie tedy dalej Antoni Pływacz, a gdy przyjechał do domu, patrzy, a tu chabecie znowu na jednem kopycie podkowy niedostaje.

— A toć ten nicpoń Miechułka tak źle przybił podkowę! — zowołał — Ale poczekaj no hultaju zobaczysz ty za to pieniądze, jak własne ucho!

I nietylko nie chciał jak obiecał zapłacić Miechułce, ale go jeszcze łajał:

— Wasza podkowa zaraz o staję odpadła od kopyta! Taki z ciebie majster, nie konie tobie ale kozy kuć! Idź do Pacanowa! Ty taki! ty owaki!

A Miechułka na to:

— Nieprawda! moja się trzyma dotychczas, to inna odpadła.

— Twoja! — krzyknął Pływacz.

— Nie moja! — wrzasnął Miechułka.

— Zapłać!

— Nie zapłacę!

— To ja cię sprocesuję!

— A choćby! Pokaże się czyja prawda!...

Miechułka pobiegł jak opętany do urzędu a tuż za nim w dyrdę i Pływacz. Prawowali się długo, wytracili się obaj do gołego prawie, a choć koniec końcem Antoni, co nie na darmo zwał się Pływacz, wygrał, toć za to gdy przyszło stanąć na ostatni termin, to przytelepał się nieborak piechotą, bo konia na proces sprzedał.

Masz tobie teraz proces!

Dalipan! prawda święta co ludzie powiadają: Lepsza słomiana zgoda niżli złoty proces!

RÓŻNOŚCI.

Nie zgadnie pan Niewiezki, co zrobi Pan Niebieski. Powiadają ludzie, że kiedy źle się dzieje na świecie i nie po bożemu idą ludzkie sprawy, to i sam Pan Bóg dopuszcza jakichś niezwyczajnych rzeczy... Smutno tego roku na bożym święcie, a najmutniej w naszej Polsce, toż i na niebie jakoś smutno i chmurno, a choć Maj już zawitał do nas, to śnieg sobie lepił, jakby dopiero na Styczeń się zabierało. Kalendarz wprawdzie zapowiadał pogodę i słonko — ale tak siarczyście kłamie, że się człeku przypomina staropolskie przysłowie, które tu na górze wydrukowane: *Nie zgadnie pan Niewiezki, co zrobi Pan Niebieski.* Trzeba wam bowiem wiedzieć, mili czytelnicy *Dzwonka*, że za dawnych czasów żył w Warszawie niejaki pan Niewiezki, co pisał kalendarze. Ale cóż, kiedy nie umiał nigdy ugodzić w prawdę i kiedy zapowiedział deszcz i zimno, toć wła-

śnie na opak słońce grzało, że aż z czupryny para buchała, a gdy pogodę obiecał, to właśnie okrutna słota lunęła. Toć też i ludzie mawiali, że *„nie zgadnie pan Niewiezki — co zrobi Pan Niebieski.“* Takić podobno wyjdzie tego roku na nasze chłopskie przysłowie: *Do św. Ducha — nie zdejmuj kożucha.* Ale co prawda, to prawda. Już to trzebaby mieć niepoczciwy język, aby nie przyznać, że dziś już i niektórzy kalendarnicy nie łżą, jeno prawdę mówią czystą. Owo w Francyi żyje jeden człowiek uczony, co się zwie Mateusz Deladrom, a ten-ci zgadł trafnie i przepowiedział naprzód, że będzie zimno i pluta na wiosnę a nawet i w lecie. Dotąd wszystko tak się przytrafia, jak wyprorokował mądry Francuz — zaś jak dalej się stanie, wie chyba sam *Pan Niebieski.*

Samobójstwo z miłości ojcowskiej. Nie ma to podobno większego nieszczęścia dla człeka, jak gdy jakaś ukochana osoba, naprzykład syn, ojciec, matka itd. nagle zejdzie z tego świata. Za nic ogień, woda, pomorek na chudobę, ba i głód nawet, byleby ci, co ich całem sercem miłujemy, byli przy życiu i dobrem zdrowiu. Boć wszystko łacniej przenieść biednemu człowiekowi, niż ten okrutny ból, kiedy ukochana umrze dziecina. Pisarz Dzwonka dowiedział się właśnie z gazet o strasznym przytrafunku, co się zdarzył w cyrkule Złoczowskim. Jest tam przysiołek *Zbrońce*, co należy do Obydowa Otóż w Zbrońcach żył kmieć imieniem Stanisław Z., poczciwy starowina, któremu Bóg dozwolił już siedm dziesiątek lat spokojnie przeżyć na ziemi. Naraz zachorował biednemu staruszkowi syn jedynak śmiertelnie i leżał już na skonaniu. Starowina kochał syna nad życie i gdy widział, że już ze śmiercią się pasuje i żadne mu ludzkie leki nie pomogą, taka go rozpacz zebrała, że stracił rozum z srogiego bolu serca i skoczywszy do studni utopił się w niej. Już to widocznie biedny staruszek ze zgryzoty postradał zmysły, boby inaczej nie popełnił takiego bezbożnego uczynku, jakim jest samobójstwo. Bóg dał życie — Bóg je tylko odebrać ma prawo. Wprawdzie palec Boży dotyka nie raz strasznie ludzi na świecie — aleć na tośmy przecież nie poganie, jeno wyznawcy Zbawiciela, aby z pokorą znieść wszystkie srogie nieszczęścia, które Bóg na nas dopuszcza. Niechajżeby Ojciec Niebieski przebaczył temu biednemu staruszkowi, boć go jedynie wielka miłość do syna do takiego grzechu skusiła!...

Instalacya ruskiego arcybiskupa we Lwowie. Zeszłego czwartku była tu u nas wielka uroczystość, bo najprzewielebniejszy x. Spiridyon Litwinowicz, którego Ojciec św. mianował arcypasterzem ruskim obchodził swoją instalacyę. Zjechało się tu mnóstwo xięży ze wsi i luda było też huk, aby powitać nowego arcybiskupa.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.